

Awruk Anabej

Opowieść o Jędrzeju Szyszcze

Postacie i wydarzenia opisane w opowieści są fikcyjne. Miejsca akcji, dialogi oraz treść dobrano w taki sposób, aby publikacja służyła do nauki czytania cudzoziemcom uczącym się języka polskiego.

Oświęcim 2025

Wstęp

Dwudziestoosmioletni Jędrzej Szyszko szczęśliwym zrządzeniem opatrności osiągnął wszystko, czego zapragnął. Był przystojny, cieszył się zdrowiem, pomyślnością, czerpał z życia pełnymi garściami. Zwiedził pół świata, trwonil ciężkie pieniądze, szalał na przyjęciach. Nie czuł wstydu, nie wiedział, co to wstrzemięźliwość, najbliżsi spełniali jego najdziwniejsze zachcianki, czcząc niewdzięcznika niczym bóstwo. Dąsał się, nie zniósł sprzeciwu, wszczynął kłótnie, wszak miał na względzie swoje widzimisię, a innym nie szczędził przekleństw i obelg.

- Rządzą mną żądze i popędy, szczególnie popęd płciowy - szczerze uzewnętrzniał swoje skłonności do współżycia z płcią przeciwną.

Przyszedł na świat w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku w Szczebrzeszynie koło Zamościa. Matka zaszła w ciążę przez przypadek. Mieszkała w Czernięcinie - podszczembrzeszyńskiej wsi. Sprzątała w przedszkolu i była wziętą szwaczką. W sierpniową niedzielę spędzała czas nad leśną stróżką, a kiedy poszła schłodzić szczupłe nóżki w rzeczulce, Krzysztof Szyszko - dziarski młodzieniec stróżujący w kuźni - ujrzał kołyszące się piersi oraz sterczące sutki zaznaczające się pod cieniutką płócienną koszuleczką kojarzącą się z czechłem i giezłem wkładanymi przez młódki w siedemnastym oraz osiemnastym stuleciu.

- Masz prześliczne cycuszki, moja przyszła żoneczko. Zdradź mi swoje imię - zbałamucił cycatą piękność nie szczędząc pochwał.

- Mam na imię Wiesia. Poślub mnie, a będę darzyć cię miłością bez względu na wszystko - odparła rozgorączkowana trzpiotka chichocząc z radości.

Odpowiedziała ciepłym, serdecznym uśmiechem trzepocząc rękami i kręcąc pośladkami w dość obcisłej spódniczce, która podkreślała krągłości jej ponętnego ciała. Podziało to na młodzieńca jak płachta na byka.

- Pomieszały mi się zmysły, czuję ciarki przeszywające ciało. Ożenię się z tobą, wkrótce zawrzemy związek małżeński - obwieścił wniebowzięty Krzysiu.

- Chajtniemy się, będziemy żyć długo i szczęśliwie z pięciorgiem dzieci, pieskiem, kiciusiem oraz żółwiem - Wiesława snuła wspólne plany na przyszłość.

Spiknęli się późną nocą w chłopskiej chacie krytej strzechą. Miała cyci na wierzchu, więc Krzysztofa opętała nieokiełznana żądza, aby ją posiąść. Ślinił się widząc jej kształtne ciało. Jego myśli krążyły wokół igraszek miłosnych. Nie mógł oprzeć się pokusie; stracił resztki rozsądku. Zdarł z niej bieliznę, rozdarł pończochy i rzucił się na Wiesię niczym wściekły jeleń na łanię. Ujął w dłoń jej piersi, czuł ciepło bijące od jej ciała płonącego ogniem namiętności. Pieścił jej nabrzmiałą łechtaczkę, ona spięła się pieszcząc jego stwardniałe prącie stojące w pełnym wzwodzie.

- Poliz mi cipkę - wykrztusiła z siebie. - Zerznij mnie - dodała po chwili.

- Połóż się i rozłóż nóżki - polecił.

Wzniciła w nim pożądanie; jednocześnie zeszło z niego napięcie. Wsadził przyrodzenie w najciaśniejszą dziurkę, rznął ją jak dziczkę w szaleńczym rozżarzeniu. Wepchnął głębiej, aż trysnął białym nasieniem, spuszczając się w jej wnętrzu. Roznamietniony obściskował owłosionymi, umięśnionymi łapskami jej jędrny tyłeczek. Przygryzał sztywne sterczące sutki. Jęczała, stękała, zaczęła szaleńczo się miotać owładnięta nieziemską rozkoszą. Uklęka przed nim, wydęła usteczka, wepchnęła członka w głąb gardła.

- Ty bestio, ubóstwiam dzikie rżnięcie - wzdychała Wiesława.

Krzysztof Szyszko klasnął w ręce. Sprawdził się jako mężczyzna, ale nie mógł złapać tchu po pięciogodzinnym seksie. Zziąjany miętosił jej piersi, kładł policzki przy jej twarzyczce. Ich języki złączyły się w tańcu, wszędobylskie ręce zapalczywie błądziły po nagich ciałach. Wiesia jeździła na Krzysiu, dopóki nie zsiąkała się z rozkoszy.

Podglądający ich czterdziestoletni sąsiad z włosami przyprószonymi gdzieniegdzie siwizną wybałuszył oczy i podkręcił wąsa. Od dłuższego czasu chodził na przespiegi świdrując pożądliwym wzrokiem pociągającą Wiesławę, choć miał kochającą, lecz oziębłą żonę. Cichy wielbiciel kipiał z zazdrości widząc swój obiekt westchnień z innym mężczyzną. Wiedział, że Wiesławę i Krzysztofa łączy szczególna więź. Byli jak papużki nierozłączki, więc nie mógł nic zdziałać. Przejęty zamyślił się. Tęsknił za swoją młodością.

- Prędzej czy później zachęcę ślubną do ostrzejszego seksu - przeklął w myślach pocieszając się.

Zmęczeni kochankowie szybko zasnęli. Wypoczęta Wiesia wyslizgnęła się bezszelestnie o brzasku i tylko wygnieciona pościel na łóżku świadczyła o nocnych szaleństwach.

Ciąża i dzieciństwo

Minęło półtora miesiąca. Wiesława Kszczot idąc na sprzątanie zemdląła. Za tydzień spóźnił się okres. Kiedy ponownie dostała mdłości, zdrętwiała. Brzuszek wprawdzie jeszcze się nie zaokrąglił, ale bez cienia wątpliwości domyśliła się, że jest w ciąży. Ogarnął ją lęk o przyszłość. Zadręczała się, kreśliła w myślach różne scenariusze odzwierciedlające sposób myślenia wierzących wieśniaczek każących zachować czystość przedmażeńską. Przesądne świętoszki modlą się w kościele, a po wyjściu ze świątyni niszczą człowieka szerząc oszczerce pogłoski zmyślane z zazdrości.

Pobiegła z płaczem do Krzysztofa, padli sobie w objęcia. Na samą myśl o nim zrobiło jej się cieplej na sercu.

- Krzysiu, jestem w ciąży! - wycodziła przez łzy.

- Cieszę się, że będziemy mieli dziecko! - wydusił z siebie przejęty Krzysztof.

Żyjący w nędzy i ubóstwie mężczyzna nie wyrzekł się dziecka, wziął odpowiedzialność oraz przyjął obowiązki przysięgłego męża.

- Żenię się we wrześniu! - oświadczył osłupiałym najbliższym.

Szybkie zaręczyny zaskoczyły przyjaciół. Kupił pierścionek zaręczynowy, Wiesława ze starszą siostrą szyły suknię ślubną. Nie wszyscy cieszyli się ich szczęściem. Dulszczyzna i kołtuństwo nie zniknęły ze wsi we wschodniej części Polski. Niektórzy strzegli się ich jak ognia, choć wcześniej sami współżyli przed ślubem, a na co dzień nie przestrzegali przykazań kościelnych.

Cenieni rzemieślnicy, działacze, urzędniczeki, urzędnicy obwiesie. Na mszy siedzą w pierwszych rzędach, żeby wszyscy podziwiali, jacy są pobożni. Udają świętych, wszystko robią na pokaz - Krzysztof rozsiadł się na skrzypiącym krześle rozzłoszczony obłudą wiejskiej społeczności.

Z czasem wieśniacy przyzwyczaili się, a zmyślane wieści krążące między ludźmi ucichły. Brzuszek ciężarnej pomału rósł i zaokrąglał się. Ciąża pod każdym względem przebiegała przykładnie. Młodzi narzeczeni wkrótce stanęli na ślubnym kobiercu. Ksiądz udzielił błogosławieństwa w średniowiecznym kościółku z pełnych pęknięć i wgłębień cegieł, zwieńczonym dwiema wieżyczkami. Wiesława uściskała się z teściami, a jej najbliżsi byli w siódmym niebie. Termin rozwiązania zbliżał się nieubłaganie.

Po dziewięciu miesiącach odeszły wody płodowe. Mąż zawiózł małżonkę na oddział położniczy do szpitala w Szczepieszynie, gdzie po cesarskim cięciu urodził się słodziutki chłopczyk. Szczęśliwi rodzice nadali mu imię Jędrzej. Przepełniony dumą ojciec niósł zawiniątko na rękach do zaprzyjaźnionych sąsiadów, chwając się rozkosznym niemowlęciem. Matka otoczyła berbecia czułą opieką. Karmiła piersią, chuchała i dmuchała, rozśmieszała wożąc brzdąca po wsi w wózeku. Wiejski ksiądz ochrzcił dziecko w wieku sześciu miesięcy.

Krzysztof przyjął się do pracy na kopalni, więc musieli się przenieść do wsi pod Łęczną. Zakład przekształcił wiejskie dworzyszcze w mieszkania dla rodzin pracowników z dziećmi. Cztery prostokątne skrzydła dworzyszcza rozciągały się wokół dziedzińca wewnętrznego. We wschodnim skrzydle urządzono żłobek i przedszkole, w północnym mieściła się świetlica. Małżonkom przydzielili trzypokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze. W sypialni stało szerokie łóżko małżeńskie, a w mniejszym pokoiku łóżeczko dziecięce. Wiesława ścierała szary kurz zacierający kontury staroświeckich mebli, przesiadywała w kuchni, gdzie pichciła wymyślne posiłki i najróżniejsze przysmaki.

Ciepła kąpiel zawsze działa kojąco - stwierdziła, gdy przejrzała się w lustrze w łazience z półprzymkniętymi powiekami po nieprzespanej nocy przy płaczącym dziecku.

Troszczyła się o męża, sprzątała pomieszczenia, przyrządzała śniadanie, obiad i kolację. Prała pościel i prześcieradła, czyściła odkurzaczem kobierzec oraz wykładzinę. Dbła o czystość, niańczyła Jędrzeja, wyręczając go we wszystkim.

Małżonek zaczął się w kopalni jako hałdziarz wywożący skałę płonną na hałdę. Była to ciężka i wyczerpująca praca, prościej mówiąc zapieprz. W zamian mógł liczyć na większe zarobki, a także świadczenia na dziecko, łącznie z zasiłkiem rodzinnym. Dzięki zacięciu w niedługim czasie zdążył się wspiąć na wyższe szczeble hierarchii służbowej.

W soboty chałturzył jako złota rączka przynosząc żonie niemałe pieniądze. W niedzielę chodził z leśniczym po gęstych leśnych ostępach, grzązł w mokradłach i trzęsawiskach, sadził i siał drzewa, doglądał zwierząt leśnych, ściółkował liśćmi, pogłębiał wiedzę o roślinności w leśniczówce. Dwoił się i troił, urabiał ręce po łokcie, tyrał jak dziki osioł.

- Stęskniłam się za tobą. Zamęczasz się, a życie ucieka - rzędziła Wiesia.
- Pieniądze nie śmierdzą - tłumaczył stęsknionej żonie.
- Przeciążasz się, a czasu nie cofniesz. Przyjdzie nieszczęście, będziesz bić się w piersi, że ominęły cię wszystkie przyjemności - pouczała go.
- Chcę w zdrowiu dożyć dziewięćdziesiątki. Odłożę pieniądze, zapewnię nam godziwą jesień życia. Nie obejdzie się bez wyrzeczeń - potrząsał głową.

Źle zaczęło się dziać w małżeństwie, jednak szczerza miłość przewyciężyła piętrzące się przeszkody.

Ciężko pracujący mąż w końcu znalazł chwilę wytchnienia. Wiesława posłała mu ciepły uśmiech. Odsunął krzesło, wstał i podszedł do niej. Objął ją w pasie, przyciągnął do siebie i zachłannie wpił się w jej usta.

- Włożyłam dziś spurpurowiałe przeźroczyste majtki - oświadczyła.
- Niegreczna dziewczynka. Rozbierz się i porządnie wypnij pośladki - przykucnął za nią. - Ssij mi pałę - rozkazał po chwili.

Pragnął namiętnie się z nią kochać i chłonać ją całą. Sztywniejące prącie napierało na spodnie. Wziął ją od tyłu, ścisnął piersi, podszczypywał pęczniejące sutki. Przez cały wieczór spełniał wyuzdane zachcianki niewyżytej najdroższej mu niuni, owładniętej żądzą namiętności. Pożądanie wzięło górę nad rozsądkiem, na szczęście trzeźwo myślący mąż zabezpieczył się przed niechcianą ciążą. Ssała prącie z dziką pasją, ciepło przepelniało jej ciało. Miała gęsią skórę, rozsadzało ją napięcie, a wzdłuż kręgosłupa przebiegły ciarki. Tulili się do siebie, wiercili w pachnącej świeżością pościeli. Jej ręka ześlizgnęła się niżej, gładziła mu prącie, a on położył grzeszne łapska, stapiając się z nią w jedność. Świat stanął w miejscu, kiedy osiągnęła szczyt rozkoszy, spełniając swoje najskrytsze marzenia.

Nazajutrz czar upojnej nocy przysł, bo synuś dał im w kość.

Jędrzej był nieznośnym dzieckiem. Wrzeszczał, płakał, dąsał się, stroił fochy. Na śniadanie wcinał drożdżówki z kakaem, bawił się z dziećmi w ciuciubabkę, kręcił bączkiem, grał w kapsle przemieszczając je pstryknięciami po torze, stroił drwiny z przedszkolaków. Wieczorem kładł się do łóżka tuląc misia.

Często tłukł słoiki w spiżarni, dmuchał w trąbkę, walił w bęben, brzdąkał i rzępolił na skrzypcach, podśpiewywał zawodząc fałszywie brzmiącymi dźwiękami pieśni. Rozpuszczony wierzcipięta cieszył się, kiedy ciocia przywoziła świeże śledzie ze Świerzawy.

Na święta jeździł na Białoruś, do Brześcia. Spędzał wigilię z babcią i dziadziusem. Stoły ugiwały się pod ciężarem jedzenia, a półki pod ciężarem świętych ksiąg chrześcijan. Częstoował się kutią, barszczem, karpem i pierożkami z nadzieniem. Zwiedził twierdzę, podziwiał pociągi do Mińska, obejrzał skansen kolejnictwa.

Krzysztof przyłączył się do związków zawodowych. Uczciwość, człowieczeństwo, współczucie i miłosierdzie wystarczyły, aby górnicy powierzyli mu miejsce w radach i komisjach. Członkowie zarządu nie wnieśli sprzeciwu. Sprawdził się jako przedstawiciel uciśnionych, wymęczonych strzałowych, czy rębaczy urabiających skałę na przodku. Pod ziemią spędzał mniej czasu, po pierwszej kadencji przyjął propozycję zasiadania w komisjach rewizyjnych lub radach nadzorczych sprawujących stały nadzór nad działalnością sześciu kopalń w Górnośląskim Zagłębiu Węglowym.

Późne dzieciństwo

Ojciec zasiadał w zarządzie sześciu śląskich kopalń węgla kamiennego, był też przewodniczącym rady nadzorczej w największym na Górnym Śląsku przedsiębiorstwie przemysłu ciężkiego, działającym na granicy Czeladzi i Będzina. Państwo Szyszkowie przenieśli się z Lubelszczyzny do Skidzinia koło Brzeszcz, aby ojciec mógł dojeżdżać na posiedzenia zarządów.

Skidziń to podbrzeszczańska wieś, rozpościerająca się w pobliżu Przecieszyna, Łęk, Kęt i Oświęcimia, nad pieniącą się po rzęsistych deszczach górską rzeką Sołą. Dawniej szlachecka wieś Skidzińskich przyciągała przybyszów rzeźkim powietrzem, zielenią, wysadzanymi wiązami ścieżkami wijącymi się po nasiąkniętej ziemi wzdłuż łęgów porośniętych mchem, leszczyną, czy czarniawym szakłakiem.

Trzeźwo myślący Krzysztof Szyszko oszczędzał na wszystkim i skrzętnie ciułał pieniądze, aby na miejscu niszczejącej chałupy ze skrzypiącymi, zardzewiałymi wrotami wznieść piękną willę z obszernym obejściem.

Nie wszystko szło po jego myśli. Ciężka praca zniszczyła mu kręgosłup lędźwiowy, więc już w wieku trzydziestu trzech lat coraz częściej leżał wycieńczony rwą kulszową wijąc się z bólu i przeklinając niepełnosprawność. Łykał pigułki, ćwiczył, chciał przezwyciężyć przeszywający dolną część ciała nerwoból. Ciężko zniósł rozłąkę z przyjaciółmi z dzieciństwa, tęsknił też za szczęśliwymi latami pod Łęczną. Wiesława dzieliła z nim ból.

Jędrzej skończył trzynaście lat. Nie odziedziczył cnót po ojcu. Rozpieszczany przez wszystkich uroczy słodki chłopczyk stał się chciwym, przemądrzałym chwalipiętą. Przeciwstawiał się wszystkim, nie znośił sprzeciwu, od dziecka dbał o tężyznę, więc siał postrach nawet wśród dużo starszych młodzieńców. Władał mieczem i szablą. W szkole krnąbrny uczeń miał mnóstwo przyjaciół - dzięki cechom przywódczym ludzie lgnęli do niego jak ęmy do ognia.

Brzydził się ciężką pracą, wstydził się matki szwaczki sprzątającej wcześniej w przedszkolu. Ojca podziwiał, a jednocześnie nim gardził. Codziennie ćwiczył na siłowni, o świcie ruszał na przebieżkę wśród spróchniałych dębów zrzucających pożółkłe liście i żołędzie, rąbał drewno siekierą, późnym wieczorem siedział na sianie patrząc w rozgwieżdżone niebo i marząc o szczęśliwej przyszłości. Czasami się wygłupiał - drażnił wieprza, syczał na zabłąkanego jeżozwierza, grzebał w śmieciach, tarzał się w błocie, śmiesznie szczebiotał, robił fikołki na trzepaku albo strącał czereśnie w sadzie sąsiadów.

Młodość

Chłopięce lata przeminęły. Uczęszczał do najgorszej szkoły średniej w Oświęcimiu, gdzie cieszył się popularnością wśród takich łachudrów jak on. Wielbił blichtr, siłę i pieniądze. Miał słabość do ślicznych dziewcząt. Przystojny osiłek przebierał w nich jak w ulęgalkach, rozstając się z większością po kilku dniach.

Zaślepienie gołąbeczki pochlipywały cierpiąc po rozstaniu, a on śmiał się wniebogłosy, widząc ich cierpienie. Był męski i pociągający. Miał cudnie wyrzeźbione mięśnie, wyglądem przypominał posąg. Wystarczyło, że rzucił spojrzenie przepełnione pożądaniem lub zawiesił wzrok na nieśmiałej szatynce o cięłych oczach. Wszystkie czuły ucisk w podbrzuszu, drżenie ciała i szybsze bicie serca. Kiedy grzeszne myśli kłębiły się w głowach, wilgoć spływała im po majteczkach z rosnącego podniecenia. Młodsze, starsze, rozwiązłe, czy porządne. Nieważne, czy szczupłe, czy tęgie. Mącił w główkach wszystkim bez wyjątku.

Trzyletnią szkołę branżową ukończył z najwyższą średnią ocen.

Urządził huczną osiemnastkę, w odświętnym stroju świętując wejście w dorosłość i ukończenie szkoły. W kieszeni trzymał świeżo odebrane prawo jazdy, a ojciec syknął groszem na pierwszy krążownik szos. Wszyscy życzyli mu szczęścia, pomyślności, szczerzej miłości, a Jędrzeja przepełniała żądza pieniądza.

Życie dorosłe

Nie garnął się do pracy, wiedzy też nie łaknął. Ostrzył sobie zęby na własną stajnię.

W młodości chętnie spędzał czas w stadninie koni, gdzie wściekły ogier ujeżdżał klacze i rodziły się źrebięta. Miał zadatki na jeźdźca. Odciażał stajennych sprząając stajnię. Karmił i oporządzał konie, zbierał końskie łajno, szczotkował sierść zwierząt zgrzeblęm, ciął piłą sklejkę. Jeździł na wierzchowcu, szedł stępą, aby przejść w klus, a później pędzić cwałem po leśnych duktach wokół Skidzinia. Szczególnie ubóstwiał bułanego wałacha z chrzęstem żującego owies z torby nasuniętej na pyszczek. Ociężały Strzałek odwodził się posłuszeństwem, kiedy Jędrzej go siodłał, zakładając wędzidło i uzdę błyszczące w ciemności. Zarżał, prychnął, zastrzygł uszami i buchnął parą z nozdrzy. Jeździec spiął lekko konia ostrogami, podciągnął szarpnięciem popręg i popędził w stronę Brzeszcz.

Utkwiły mu w pamięci przejażdżki po ścierniskach, gdy siedząc na grzbiecie wierzchowca dzierżył rękojeść miecza, siejąc strach wśród przechodniów i świń żrących ziarna pszenicy porozrzucone przed chlewem. Po wszystkim zjeżdżał do stajni, zsunął się z siodła, i odszedł głaszcząc uszczęśliwionego konia.

Młody Jędrus święcił triumfy w jeździectwie. Zdało się, że zmęźniał, lecz zaprzysięgły kobieciarz wołał niewieście wdzięki.

W piątki schodził się z przyjaciółmi nad brzegiem Soły. Siedzieli przy blasku księżyca w nowiu oświetlającego ścieżki wyłożone żwirem. Któryś z przyjaciół wykrzesał ogień trąc o siebie krzemienie. Rozniecili ognisko. Obsiedli krąg wyznaczony przez strzelające jęzory ognia, piekli kiełbaski na ogniu gawędząc o wszystkim i o niczym.

Jędrzej chełpił się jak wciskał kit płci przeciwnej. Zamącił w głowie pięciuset ślicznotkom, przeleciał dziewięćdziesiąt dziewięć dziewic, uwiódł dziesiątki majątnych babć, aby wyczyścić ich konta z pieniędzy. Szerzył rzeżączkę krążąc rzeżącym rzęchem po wsiach i miasteczkach od Libiąża przez Łędziny, Trzebieńce po Czaniec. Szczególnie chętnie chędożył Czeszki w Czeskim Cieszynie.

- Mógłbyś się opamiętać. Zaszкодźisz sobie w przyszłości - zbesztali go kumple.
- Myślałem, że równi z was goście, a zżera was zazdrość - odparł Jędrzej.
- Przemyśl to wszystko. Odtrącasz, krzywdzisz i sprawiasz przykrość szydząc z czyichś uczuć - próbowali przemówić mu do rozsądku.
- Mięczaki, fajtlapy, ciamajdy, rozszczepiacie włos na czworo. Przestańcie pleść głupstwa, bo dzielę was pięścią! - zezłościł się Szyszko. Wściekły uciekł się do grózb wobec siedzących w kręgu przyjaciół i nie były to czcze pogroźki. Umilkli, bowiem wiedzieli, że jak wytrzeźwieje, puści zgrzyt w niepamięć.

Lepiej było nie zadzierać z zacierzwionym mięśniakiem. Miał potężny cios, strzelał z kuszy, ćwiczył walkę wręcz. Chłop na schwał często straszył łukiem - napinał cięciwę chcąc wypuścić strzałę, a w punkcie uboju zwierząt rzeźnych kiedyś rozbił cegłę zaciśniętą pięścią.

Rozsierdzony wszetecznik wrzeszczał przeraźliwie:

- Zdziry lecą na pieniądze. Myślą, że złapią mnie na ciężę, wyjdą za mąż i oskubią z pieniędzy. Żadna mi się nie oprze. Bździągwy same pchają mi się do łóżka. Mężatki łajdaczą się jak suczki w cieczce; głupiutkie siksy puszczaają się gdzie bądź.

Krzyk niósł się w poprzek wąskiego krańca starorzecza Soły, ponad marznącą ziemią, nad uschłymi liśćmi, płosząc łabędzie i ich pisklęta.

Początek końca

Jędrzej szastał pieniędzmi, z których wcześniej czyścił konta babć i dążących do niezależności mężatek. Zwiedzone zamężne paniusie milczały ze wstydu. Wciąż wystarczyło, że szarmancki strojniś uśmiechnął się, a na twarze dziewcząt występowały rumieńce. Jeździł na mecze Podbeskidzia do Bielska-Białej, stapał po rozżarzonych węglach, pogłębiał wiedzę - czytał wciągające wielowątkowe powieści z wartką akcją, co jakiś czas obejrzał działający na wyobraźnię dreszczowiec, pisał wiersze, wydał książkę, nabrał ogłady.

Zapraszał świetnie uczące się kujonki do muzeum sztuki współczesnej, gdzie mądrzył się sypiąc ciekawostkami jak z rękawa. Przyswoił wiedzę o mistrzach pędzla, powieściopisarzach i rzeźbiarzach, żeby tylko urzec towarzyszkę bystrością, a następnie zaciągnąć do łóżka. Każdej przysięgał wielką miłość, podróż poślubną dookoła świata, nieskończone bogactwo, niekończące się szczęście oraz sielskie życie ze szczerze kochającym mężem.

Nazmyślał, obudził złudne nadzieje, zbałamucił, a później przepędził uległą niewiastę szydząc, kiedy tonęła we łzach.

- Spieprzaj, tępą dzido. Jesteś smętną szmatą i bezpłciową cizią! - rzucał na odchodne przy rozstaniu.
- A ty jesteś bestią w ludzkim ciele! - łkały rozżalone dziewczęta, a ich oczęta zaszklily się łzami.
- Zjeżdżaj stąd, mało człekokształtna. Takich jak ty mam na pęczki! - zżymał się.

Nie zmiękczył go rzewny płacz i pochlipywanie.

- Przestań beczeć, tylko się ośmieszasz! - kpił ze szlochających uczennic.

Wyniosłość, buńczuczność i bezwzględność przysparzały mu przyjaciół. Ludzie cenili podłość, nieokrzesanie, jak również impertynencję. Uczciwy, porządny, poczciwy człeczyzna był pośmiewiskiem dla gawiedzi.

Nie przypuszczał, że źle się to skończy.

Obrósł w piórka, szarogęsił się, czuł się pępkiem świata. Na potańcówce strzelił z liścia chorążemu, zniesławiał bliźnich, rzucał oszczerstwami. Uniknął przeciwności losu, omijały go nieszczęścia.

- Jestem władcą serc niewieścich - wyszczerzył zęby w uśmiechu na uczcie, gdy przechwalał się osiągnięciami w dziedzinie miłosnej.
- Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą - przestrzegali go co rozsądniejsi współbiesiadnicy.

Nic nie trwa wiecznie, wszystko kiedyś się kończy. Nawet najdłuższa passa.

- Nacięłam się, ale ci nie odpuszczę! - jedna przepełniona złością naiwniaczka odwróciła się na pięcie.
- Oddałaś mi się, oddałaś mi też wszyścusiennie pieniądze - wybuchnął śmiechem.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. Cięta jak osa dziunia zaciągnęła poły płaszcza, zacisnęła pięści, ale zamiast szlochać, poszła do sądu. Wkrótce następne naiwne gąski podążyły zgłosić oszustwo, a w ich ślady poszli mężczyźni pokrzywdzeni przez Jędrzeja w różnych zajściach i cięższych przestępstwach. Uzbierało się kilkadziesiąt zgłoszeń. Bezczelny łgarz wpadł we własne sidła. Kpił z wezwań do sądu, nie stawiał się na przesłuchania, urągał wszystkim potęgom świata, łącznie z najwyższą władzą.

Beztróskie życie chyliło się ku końcowi.

Zatrzymanie

Był piękny jesienny dzień. Skidzińskie łągi świeciły ciepłymi barwami, nad łąkami zwłóczyły się kłęby mgieł krążące niczym poszarpane strzępy muślinów, zza których lśniło blade słońce. Po mroźnym świetle ociepiło się, szadź zniknęła z drzew. Rzeński wietrzyk świstał w pożółkłych, zeschłych, strzępiastych źdźbłach traw.

Jędrzej jesienią robił porządki. Krzątał się po obejściu, związał ciężkie pudła sprzętu łańcuchem, czyścił ścierką ościeżnicę, przetrząsał wyswiechtane ciuchy, sprzątnął śmieci, wyniósł szpargały i rupiecie. Promienie wschodzącego słońca sączyły się przez szczeliny w ścianach szopy. Kiedy skończył, wyszedł się przewietrzyć. Pstryknął zdjęcie pójdcze śpiącej na gałęzi wiazu, gdy ujrzał zbliżających się mężczyzn.

Nieszczęśnik zadrżał - szli jak cyngiel i siepacz idą przeciwzyć siłę pięści na słabszej ofierze. Serce biło szybciej, oddech stał się płytki, nie mógł złapać tchu. Trząsł się jak osika. Szybciuteńko się jednak otrząsnął. Wypiał pierś, wyprężył mięśnie.

- Dzień dobry, sierżanci Dziecioł i Łyszczarczyk. Pojedzie pan z nami - mężczyźni przedstawili się bez zbędnych wstępów.
- Gońcie się pieski, nigdzie nie jadę. Idźcie stąd czym prędzej, bo poszczuję na was mojego wyżła Maksia. Wystarczy, że zagwiżdżę, a Maksiu rozszarpie was na strzępy - ostrzegł Jędrzej.
- Przegiąłeś! - Łyszczarczyk obezwładnił Jędrzeja i rzucił nim o ziemię. - Jeszcze słówko, a zarżnę cię jak świnię! - ciągnął groźnym tonem.
- To było przejęzyczenie! - stchórzył osłupiały Szyszko.
- Powściągnij złość, bo skuję cię tak, że będziesz jęczał z bólu - wyłuszczył Dziecioł, po czym przyłożył rękę do szyi i zaczął dusić wciskając kciuk w krtań, ale chwilę później zwolnił uścisk, a następnie ciągnął pokiereszowanego Jędrzeja w taki sposób, że niezwykczony rębajło ocierał się o jezdnię. Wykręcił mu ramię do tyłu. Ból rozszedł się po całym ciele.
- Dokąd jedziemy? - wydusił Szyszko cienkim głosem tłumiąc szloch.
- Do Sądu Rejonowego w Oświęcimiu. Sędzia Cieńciała zarządził przesłuchanie świadka w sprawie i zażądał, abyś jako podsądny siedział na ławie oskarżonych w trakcie rozprawy. Narożabiałeś, nie stawiałeś się w sądzie, przeciwstawiasz się wszystkim, łzesz, mącisz. Sędzia jest cięty, nie weźmiesz go na litość. Posiedzisz pięć lat w pierdlu, to zmądrzejesz - wyjaśnił Dziecioł.
- Pięć lat w więzieniu?! - Jędrzejem wstrząsnął zimny dreszcz, mięśnie stężały, aż zdrętwiały posikał się ze strachu.
- Zmierzył jesteś i niegrzeczny. Będzie ci ciężko w więzieniu. Współwięźniowie obiją ci szczękę i przetrąca kości. Będą cię dręczyć przez całą odsiadkę. Odsiedzisz swoje, wyjdiesz, weźmiesz się w garść, może wyjdiesz na ludzi - śledczy Łyszczarczyk kreślił Szyszce wizję najbliższej przyszłości.
- Przestańcie pieprzyć! To jakiś obłęd! - przejęty Jędrzej zaniósł się płaczem.

Łyszczarczyk wcisnął gaz i zwolnił sprzęgło. Odjeżdżali nieśpiesznie w stronę Rajska.

- Jakie masz wykształcenie? - Dzieciół przerwał niezręczną ciszę.
- Uczyłem się na ślusarza i cieślę w Zespole Szkół Budowlanych w Oświęcimiu. Miałem same piątki i szóstki - chlubił się Jędrzej. - Falszowałem dzienniki, ściągałem na sprawdzianach, kurzyłem skręty w kiblu na pierwszym piętrze aż kopciło się z otwartych na oścież okien. Schlebiałem nauczycielom łechzcząc ich próżność, gardziłem zniewieściałymi lalusiami ślęczącymi w książkach. Trzeba tępić cieniasów. Życie mężczyzny to scysje, rękoczyn, huk dział, szczęk oręza i wycisk na siłowni - wspominał z rozrzewnieniem.

Zespół Szkół Budowlanych w Oświęcimiu to nędzna, trzeciorzędna szkołka. Słynęła z gnębienia wyróżniających się uczniów przez świrniętych umięśnionych przyglupów, bęcwałów, ciężko myślących ćwierćinteligentów, trzepniętych tłuków i ścichapęków podpuszczanych przez kiepskich nauczycieli chcących zniszczyć uczniów mądrzejszych od siebie. Nauczycieli i rzezimieszków łączyły potępieńcze ścisłe związki oparte na wstrętym lizusostwie, płaszczeniu się oraz przemożną chęć podcięcia skrzydeł porządnym młodzieńcom wierzącym w szczytne ideały lub dążącym do osiągnięcia czegoś w życiu. Dręczeni kończyli szkołę stłamszeni i zgnojeni, bowiem zawsze znalazł się kozioł ofiarny, który przeszedł piekło ze strony przeciętnych i miernych rówieśników, posądzany o winę za niższą średnią ocen na świadectwie szkolnym. Pieprznicy idioci nieświadomi swojego odmóżdżenia nękali cierpiętników.

Łyszczarczyk przeciągnął się i westchnął. Sam święty nie był, jednak Zespół Szkół Budowlanych w Oświęcimiu znał, ponieważ zła sława ciągnęła się za szkołą od dziesięcioleci. Szczerze współczuł pocziwym czternasto- i piętnastolatkom, dla których przejście przez drzwi wejściowe szkoły było jak wstąpienie w czeluście piekieł. W późniejszym życiu to gnębiące ich głąby cieszyły się szczęściem, a gnębieni przegrali życie, gdyż uczciwość oznaczała frajerstwo, ośmieszanie oraz chłostę ze strony tałatajstwa. We współczesnym świecie liczyły się siła i bezwzględność.

Przejazd przez Oświęcim

Minęli zapyziałą jadłodajnię i poczerńiałe domostwa z popękanyimi ścianami. Tu i ówdzie rynny oraz opierzenia z blachy o wymyślnych kształtach niszczały pokrywając się śniedzią. Przez większą część roku w Oświęcimiu, Libiążu i Chrzanowie w wyniku tąpnięć trzęsła się ziemia. Radiowóz przyspieszył, pomknęli przez skrzyżowanie ulic Legionów i Leszczyńskiej, następnie skręcili na Most Jagielloński. Wznosząca się nad Oświęcimiem dziewiętnastowieczna wieża kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny wyznaczała położenie sądu.

- Źle się czuję! - krzyknął Jędrzej.
- Nie rñnij głupa, przemądrzały szachraju! - odburknął Dzieciół.
- Mam dreszcze i duszności, wstrząsa mną gorączka. Wieźcie mnie do lekarza, bo umrę! - błagał zatrzymany.
- Jak umrzesz, wyświadcysz wszystkim przysługę - skwitował Dzieciół.
- A jak przeżyję, oskarżę was o nieudzielenie pomocy - Szyszko przestraszył śledczyh.
- Zawieźmy go, nie chcę siedzieć w więzieniu za śmiecia - wycedził Łyszczarczyk.

Zatrzymany uniósł się wsparty na łokciach, z całej siły naparł na drzwi, ale Dzieciół wyczuł, co się święci.

- Ani się waż, ptasi mózdzku! - zdążył go okrzyknąć.

Najkrótsza droga do sądu wiodła przez ulicę Jagiełły, ale część biegnąca przez Stare Miasto była jednokierunkowa. Śledczy myśleli, co przedsięwziąć. Najchętniej sprzątnęliby trzęsącego się Jędrzeja lub roztrzaskali mu czaszkę, ale odepchnęli tę myśl od siebie. Zamiast skręcić w stronę sądu, pojechali ulicą Zaborską.

- Podjedziemy pod przychodnię przy ulicy Czecha. Przyjmie cię doktor Jadźka Gębiś, moja przyjaciółka z dzieciństwa - odrzekł Łyszczarczyk po namyśle.

- Nie chcę do przychodni, tylko do szpitala. Przejdę wszystkie badania i wydadzą zaświadczenie, że nie mogę stawić się dziś w sądzie z powodu ciężkiej choroby. Później poskarżę się na was waszym zwierzchnikom i będziecie płacić zadośćuczynienie za bezprawne najście - zatrzymany beczelnie wyszczerzył zęby w uśmiechu.
- Jeszcze się zdziwisz, picusiu - sierżanci zakłękli jednocześnie.

Przejeżdżając ulicą Nojego zatrzymany omiótł wzrokiem osiedle strzelistych bloków wzniesione na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Pod ósemką, na piątym piętrze, obibok i leń Dariusz Sieczkowski pierdzał tak głośno, że trzeszczały ściany dziesięciopiętrowych wieżowców. Piętro niżej sąsiad zdrzemnął się, ale obudziła go suczka piszcząca z tęsknoty za właścicielami w sąsiednim mieszkaniu i potężne pierdnięcie. Na półpiętrze inni sąsiedzi skarżyli się na pajaki, pchły i wszy w zanieczyszczonym zyspie. Złękli się też pluskiew rozprzestrzeniających się po ościennych dzielnicach.

Jednocześnie wieść o przyjeździe Szyszki szybko rozeszła się po Oświęcimiu. Siermiężne, złośliwe urzędniczki o jaśniepańskich manierach siedzące w sądzie od ósmej do piętnastej skrzyknęły się, żeby go uroczyście przyjąć. Przyniosły ciasto, puściły wodze fantazji śniąc z przejściem o Jędrzeju i wspólnej przyszłości z najprzystojniejszym mężczyzną w powiecie oświęcimskim. Przekomarzały się między sobą. Podkreślały krwistoczerwoną szminką wydatne usta. Choć urodą nie grzeszyły, a przaśność i kąśliwość mierzyły interesantów, to każda z nich widziała siebie jako najdroższą sercu swojego bożyszcza.

Pałętający się po mieście gapie zlecieli się jak szarańcza, chcąc ujrzyć skidzińskiego strojnisia.

- Strzeżcie się oświęcimskiego sądu! - krzyczał przed wejściem do sądu krzepki Rysiek z Przeciszowa. Mieszkał w cuchnącej stęchlizną chacie w leśnym przysiółku poza wsią, wśród bzyjących much, mszyc, czy niemiłosiernie kłających bąków bydlęcych. Jeździł do sądu wszczynać kłótnie z sędziami. Wcześniej wyśmiał sędziego Przemysława Ćwikłę, za co musiał uiścić nawiązkę na rzecz pokrzywdzonego sędziego. Straszili go też grzywną za zakłócanie porządku publicznego.

Miał pełną rację, ale inny sędzia uznał, że zniesławił sędziego, więc stał się przestępcą. Sędziowie i rzeczoznawcy szydzili ze zdziadziałych wieśniaków, wbrew przesłankom pisząc głupstwa w prawie wiążących dokumentach. Kpiący wydźwięk miały też bezmyślne opinie orzeczników orzekających o niepełnosprawności. Według nich obłożnie chorzy nędzarze przykuci do łóżka byli zdrowsi niż potężne, umięśnione byczki oraz sztangiści podnoszący dziewięćdziesięciokilogramowe ciężary. Cwaniaczków mających pieniądze i znajomości przeistaczali w zniedołężniałych niepełnosprawnych z błahych przyczyn.

Takich rzekomo niepełnosprawnych kłamczuchów państwo rozpieszczało zasiłkami, wielotysięcznymi świadczeniami, zniżkami we wszystkich możliwych miejscach. Praworządność w rzeczywistości ocierała się o śmieszność. Nie bez powodu oświęcimski sąd cieszył się niesłuchanie złą sławą.

Szpitalny Oddział Ratunkowy

Po dotarciu na miejsce śledczy wysiedli z radiowozu i przeszli bocznym wejściem na Szpitalny Oddział Ratunkowy. Ściśnięta w przedśionku ciżba klęła siarczyście półszepem czekając na przyjęcie. Przyszły miesiąc przeziębien, szerzył się krztusiec. Jesień przyniosła chłód, rzęsiste deszcze, odrętwienie i otępiałość. Był październik, więc zmrok wcześniej zapadał. Już po siedemnastej świat pochłaniała głęboka, przytłaczająca ciemność. Całe szczęście, że nie wystąpiła jeszcze marznąca mżawka powodująca gołoledź, bo śliskie drogi i chodniki sprawiały, że Szpitalny Oddział Ratunkowy przeżywał oblężenie, a złamania rąk i nóg liczono w dziesiątkach.

- Pan Czystczoń! - rozległ się głos pielęgniarki z oddziału. Wątlły, kuśtykający sześćdziesięcioletni mężczyzna powłókł się ociężałym krokiem w stronę wejścia na oddział, krzywiąc się z bólu przeszywanego kończyne.

Policjanci podbiegli w stronę pielęgniarki.

- Policja! Trzeba niezwłocznie przyjąć zatrzymanego. Mazgai się, rzezi, źle się czuje, a musimy go zawieźć do sądu! - podniósł głos Dziecioł.

- Mam cięższe przypadki niż jakiś płaczący dziwoląg - złała go pielęgniarka.

- Co to za ciężkie przypadki, że trzeba czekać? - ryknął kipiący ze złości Łyszczarzyk.

- Mam wyliczać? Proszę bardzo. Spójrzcie przez drzwi na cierpiących pacjentów. Starszy człowiek przełknął kęs mięsa. Pieczeń utknęła w krtani. Zakrztusił się i wyzionąłby ducha. Na szczęście pomoc przysłała w porę. Na łóżku pod ścianą leży ojczym dziewięciolatki ze zmiażdżoną piętą. Zasłabł po wieści o ciężkim urazie pasierbicy. Przeżył wstrząs, zasłabł, osunął się na ziemię. Ledwie co go ocuciliśmy. Ten trzeci to łyżwiarz. Ćwiczył sztuczki i piruety z przysiadem przed mistrzostwami świata w łyżwiarstwie figurowym. Nieszczęśliwie upadł na lód. Skręcił kostkę, nadwreżył mięsień naprężacz powięzi szerokiej, ma obrzęk więzadła piszczelowego pobocznego, lekarz stwierdził też zwichnięcie łokcia.

- A ten dzieciak? - drażył Łyszczarzyk.

- Słodki szczeniaczek proszący o pieszczoty przestraszył się chłopczyka chcącego go pogłaskać. Głośno zaszczekał i zaskomlał ze strachu. Przybiegła suczka - matka szczenięcia. Rozwścieczone psisko chapnęło zębiskami przedramię i pogryzło dziecko. Opatrzyliśmy rany kłusane, chłopiec musi przyjąć szczepionkę przeciwko wściekliznie oraz tężcowi. Hardzi hycle złapali i uspili bezpańskiego psa - wytłumaczyła.

- Co leży pod prześcieradłem? - ciekawość zawodowa nie dała spokoju Dzieciołowi.

- Starzec struł się strychniną. Dostał sztywności mięśni kończyn, silnych drgawek i szczękościsku. Kiedy go przywieźli, miał rozszerzone źrenice, a z ust ciekła mu ślina. Płukanie żołądka nie przyniosło efektu, udusił się. Nie wskresimy nieboszczyka. Takie cuda potrafią tylko orzecznicy sądowi orzekający o niepełnosprawności. To tłumoki i ciołki, brzydzą się nimi - zakończyła medycza.

Do pielęgniarki stojącej w drzwiach ze śledczymi podeszła doktor Elżbieta Jastrzębska.

- Co się tu dzieje? - zapytała ze złością w głosie.

- Przywieźli złoczyńcę. Źle się czuje, płacze, a muszą go zawieźć na rozprawę w sądzie - wyjaśniła pielęgniarka.

- Wejdźcie, tylko streszczajcie się - rzuciła cierpko pani doktor.

Przez poczekalnię przeszedł szmer niezadowolenia. Czekający po pięć godzin na przyjęcie złorzeczyli pod nosem - oni muszą cierpieć, a jakiś dresiarz wchodzi z marszu. Stłoczeni okrążyli funkcjonariuszy, napierając na drzwi wejściowe do oddziału.

- Przepuście nas, bo będzie gorąco! - grzmiał Łyszczarzyk, próbując przecisnąć się przez rzeszę pacjentów.

Jeden z cierpiących pacjentów podszedł do kłębowiska. Choć wcześniej jęczał z bólu, wykrzesał z siebie dość siły, aby zamachnąć się na Dziecioła. Ten uchylił się przed ciosem, w odpowiedzi wyprowadzając zabójczy cios podbródkowy. Rozległ się chrzęst, z ust trysnęła krew, gliniarz niczym pięściarz zmiażdżył kości szczęki łotrowi. Napastnik opadł ciężko na krzesło. Stracił przytomność, ciało zwisało bezwładnie z rzędu krzeseł chwilę wcześniej zajętych przez pięć osób, które rozpierchły się widząc zajście.

- Ściszcze się! Jesteście w szpitalu, nie w karczmie! - do poczekalni wbiegł doktor Kręcichwost.

Ciężki nokaut ostudził zapędy zacierzewionych pieniaczy i mącicieli. Tłum rozstał się, śledczy z zatrzymanym przeszli z poczekalni na oddział ratunkowy.

- Rozkujcie go! - wydarła się na śledczych doktor Jastrzębska.

- Niech pani doktor nie zwiedzie jego uśmiech. To krzywoprzysięzca, przebiegły oszust i ściemniacz - ostrzegł Łyszczarzyk.

- Przede wszystkim to ciężko chory pacjent - doktor ucięła rozmowę.

Jędrzej z panią doktor przeszli za przepierzenie.

- Co panu dolega? - zapytała Jastrzębska.

- Wszystko mnie boli, piecze i świerzb. Kręci mi się w głowie, mdleję. Mam swędzące bąble, pękł mi pryszcz i żółkła skóra. Czuję się nabrzmiały, wstrząsają mną dreszcze - wyliczał pacjent.

- To nic groźnego, w sądzie przejdzie - odparła doktor.
- Mam nadciśnienie tętnicze oraz stłuszczoną wątrobę. Mogę zapaść w śpiączkę - Szyszko łągał jak pies.
- Dobrze, zrobimy wkłucie, pobierzemy krew do badania, później wydam zaświadczenie i pojedziecie na rozprawę - ciągnęła lekarka.

Do psioczącego pacjenta zajął również doktor Franciszek Kręcichwost.

- Boję się zastrzyków. Mdleję, kiedy widzę igłę i strzykawkę - poskarżył się struchlały pacjent.
- Coś mi się zdaje, że pleciesz piąte przez dziesiąte, byle nie jechać do sądu - bąknął szczerze doktor.
- Jestem porządnym człowiekiem. Bardzo boli mnie brzuch. Chyba mam skręt kiszek, mogę umrzeć. Proszę mnie zbadać palpacyjnie - Jędrzej nie dał się zbić z tropu.
- Spięte powłoki brzuszne, bolesność w okolicy kątniczo-krętniczej, powiększona okrężnica wstępująca i zstępująca, podrażnienie otrzewnej i uchyłków esicy, trzon trzustki oraz narządy miękkie do dalszej diagnostyki. To rzeczywiście niepokojące. Wskazanie na ciśnieniomierzu wyświetla podwyższone ciśnienie. Wezwę chirurga. Wydaje mi się, że to pęcherzyk żółciowy - obwieścił doktor Kręcichwost po badaniu.

Konsultacja chirurgiczna

Na oddział ratunkowy zszedł Zdzisław Młocka - zręczny chirurg przyjeżdżający do Oświęcimia w piątki i święta ze Zgierza w województwie łódzkim. Najchętniej operowałby cały dzień. Przystępował do dzieła, kiedy kawałek szkła utknął w ciele. Kroił nawet tępym narzędziem bez rękawic wśród świszczących strzał i pod ostrzałem strzelców oraz moździerzy dziesiątkujących żołnierzy jego pułku. Znał się na naczyniach krwionośnych, tętniakach, tkance łącznej, upuszczaniu krwi, wyrwał ze szponów śmierci niezliczonych pacjentów. Słynął jako bezbłędny i niezastąpiony mistrz skalpela, choć był oschły i szorstki w obyciu.

Przekroczył pięćdziesiątkę. Miał siłę niedźwiedzia, ciemne, wręcz kruczoczarne długie i gęste włosy w lekkim nieładzie. Często czesał się poręcznym grzebieniem z rączką o wygiętym kształcie. Strzygł się u zgierskiego fryzjera, który rozczesywał mu włosy szczotką z włosiem dzika, układając odmładzającą fryzurę odejmującą lekarzowi co najmniej dziesięć lat. Fryzjer ciął nożyczkami od początku do końca równie biegle jak doktor Młocka kroił na stole operacyjnym. Przejścia pomiędzy odcieniami podkreślały świeżość, dojrzałość oraz zdrowe podejście do życia. Strzyżenie i pielęgnacja włosów w zakładzie fryzjerskim stały się dla doktora comiesięcznym zwyczajem.

W chwilach wytchnienia od skaleczeń i rozcięć rzeźbił dłutem części ciała, jak również ćwiczył pociągnięcia pędzlem po płótnie, malując z pamięci pełne szczegółów pejzaże i rzeczywiste postacie.

- Dzień dobry, co nabroił ten rzezimieszek? - Zdzisław Młocka rzekł do śledczych.
- Sprzeniewierzył czterdzieści pięć tysięcy złotych, kradł szczoteczki do zębów, zbecześcił kościół sikając do mosiężnej chrzcielnicy, zachachmęcił srebrne sztucce przyszywanej cioci, przedrzeźniał ciężarną szczurzycę, zanieczyścił izbę wytrzeźwień, rozlał kleistą maź oraz cuchnącą cieć w cieszyńskiej książnicy, znęcał się nad słabszymi i spuszczał cięgi ociężałym tłusciochom - Dzieciół wyszczególnił szaleńcze występki Jędrzeja.
- Niezłe ziółko z tego Jędrusia - doktor odniósł się do przedstawionych przewinień.
- Mamy z nim krzyż pański - dodał sierżant Łyszczarzyk.
- Przepraszam, że przyszedłem w kitlu przesiąkniętym krwią. Pięćdziesiąt minut temu pszczelarz z Pszczyny przeszedł przeszczep trzustki, chrząstki i krwinek krwiotwórczych. Trzewia wypłynęły mu z jamy brzusznej i rozbryznęły się na posadzce oraz ścianach. Musiałem uprzątnąć wnętrze i pozszywać pacjenta - wytłumaczył doktor.
- Jestem wdzięczny, że niedościgły doktor Młocka pospieszył, żeby mnie leczyć - Jędrzej wtrącił się do pogawędki.
- Mówią na mnie „Rzeźnik”. Chętnie wycinam pieprzyki, tłuszczaki, narośle, włókniaki, jak również wrośnięte paznokcie. Zszywam rany cięte, klute, oczyszczam rany postrzałowe, nacinam ropnie. Posiadam wszechstronne umiejętności - chętnie się doktor.

- Ja mam trzy przezwiska: „Cipcia”, „Półdiabły” i „Wszechwiedzący wieszcz”, bo jestem niezwykłym, męznym mędrcem, przez co zniechęcam do siebie ciężko myślących łosów, jak ci krawężnicy - przechwalał się Szyszko, szcując się swoimi ksywkami. - Napisałem książkę „Podręcznik kobieciarza”, która zyskała sławę arcydzieła. To książka z przesłaniem, trzeba przeczytać w całości - dodał.
- Sowizdrzał się znalazł. Dołożą ci rok odsiadki za łżenie stróżów prawa - palnął Łyszczarzyk.
- Doszły mnie słuchy, że cierpisz na chrzęstniakomęsaka, toteż musimy wyciąć część żuchwy i pięć kości twarzoczaszki - doktor przeszedł do rzeczy nie zwracając uwagi na wściekłych śledczych.
- To pomyłka - odburknął szepcząc wstrząśnięty Jędrzej.
- Niech spojrzę. Szczerze powiedziawszy, źle wyglądasz. Widzę zażółcenie na skórze, czyli żółtaczkę, pachniesz żółcią, masz wytrzeszcz oczu. Zgłaszałeś gorączkę, dreszcze, światłowstręt, świąd, a także ból w nadbrzuszu. Przypuszczam, że to pęcherzyk żółciowy. Podtrzymuję wstępną diagnozę doktora Kręcichwosta - stwierdził Zdzisław Młocka.
- Mam kiłę i rzeżączkę. Dlatego cuchnę żółcią, pękły mi też pryszcze, a w posiewie moczu wcześniej wyszły pałeczki okrężnicy - roztrzęsiony Jędrzej jękał się, marszcząc czoło i ściągając krzacaste brwi.
- Ja tnę, zszywam lub wycinam narządy. Pieczenie i klucie w cewce moczowej to nie moja dziedzina. Weźcie go do urologa - zarządził chirurg i odszedł.

Krepi pielęgniarze przewieźli Jędrzeja przeszkloną przewiązką łączącą oddziały oświęcimskiego szpitala do urologa Szczepana Szczuckiego.

Wizyta u urologa

Doświadczony urolog Szczepan Szczucki przyjął pacjenta z niechęcią. Był przemęczony, w ciągu tygodnia przyjmował w sześciu miejscach, a pogoń za pieniędzmi wysysała z niego energię. Przezywali go „Skąpiec”, bo w domu oszczędzał tak, że oświetlał pomieszczenia świeczką. Pieczołowicie liczył każdy grosz, wyklócał się ze sprzedawczyniami, gdy miał choćby cień wątpliwości co do ceny, ciągle żył z ołówkiem w ręku.

- Dzień dobry, co pana do mnie sprowadza? - doktor przywitał pacjenta.
- Przyszedłem z kiłą i rzeżączką. Piecze u ujścia cewki moczowej, pęcherz moczowy też boli. Ścierpły mi ręce, mam dreszcze, pryszcze i ropnie robią się na ciele - odpowiedział Jędrzej.
- Widzę, że jądro też spuchło. Trzeba uciąć jądra - skwitował urolog.
- Mamusi, ratuj! Tylko nie jądra! - zdębiał Szyszko. Uśmieszek spełził mu z twarzy.
- Zamiast pędzić do lekarza po skuteczne leki, chorzy leczą się ziółkami. Wolą cząber, szalwię, bielun dziedzierzawą, jedzą rzeżuchę, przepiórcze jaja, przegrzebki, szczeruje lub skójki, a później płacz i zgrzytanie zębów, bo tracą męskość - wyjaśnił rozszłoszczony doktor.
- Wstydziłem się iść do lekarza, bo to niemęskie. Śmiałem się z maminsynków siedzących w przychodniach, drwiłem z dziewcząt skarżących się na bóle piersi. Oszczędź doktorze moje jądra, a więcej nie zgrzeszę. Będę żył jak święty do śmierci. - przerażony Szyszko nie mógł przełknąć śliny, a żołądek podszedł mu do gardła.

Jędrzej płacząc wypowiedział te słowa tak głośno, że do gabinetu zajrzała pielęgniarka.

- Weź się w garść, zamiast ryczeć. Przeżyłeś ćwierć wieku, a płaczesz jak dzidzius! - rzekła ze wstrętem.

Doktor wstał z krzesła, podszedł do szafki szukając narzędzi.

- Nie stękaj, tylko kładź się na kozetce. Wezmę szczypce i najniezbędniejsze sprzęty. Za trzydzieści minut zawiozę cię do sądu, a potem do więzienia - polecił doktor.
- Nie pójdę do więzienia. Cóż ja pocznę bez jąder?! - Szyszko łkał przepełniony łękiem.
- Krzywdziłeś dziewczęta, źle skończysz! - doktor Szczucki nie owijał w bawełnę.
- Przepraszam za wszystko. Zgrzeszyłem tysiące razy, ale to kara niewspółmierna do przewinienia - Jędrzej usiłował przebłagać doktora.
- Nie wierzę w szczerość twoich przeprosin. Robisz dobrą minę do złej gry - doktor trwał przy swoim.
- Mam zaćmienie umysłu - pacjent zrzędził z cicha i chrząkał.

- Dziwię się, że nie przyszedłeś wcześniej. Pacjenci cierpią miesiącami, a przecież wystarczy przyjść, przepisać leki i po udręce. Boleści pęcherza moczowego potrafią uprzykrzyć życie, po co się męczyć? To lecznica, nie miejsce kaźni - oznajmił urolog.

- Twardziele muszą cierpieć. Dzięki mękom mężniejemy, tylko mięczaki biorą pigułki uśmierzające ból, środki lecznicze oraz chodzą się badać - usprawiedliwiał się odchodzący od zmysłów Szyszko.

- Cierpienie miesiącami w imię idei to niedojrzałość. Jak trzeba wyciąć jądra, to najwięksi twardziele wymiękają - lekarz pouczył chorego.

- To nie jest śmieszne. Co ze mną będzie, jeśli nie zgodzę się na wycięcie jąder? - pacjent nie dawał za wygraną.

- Czarno widzę twoją przyszłość. Pieczenie podczas mikcji, tkliwość najądrzy, obrzęk żołądki, powiększenie węzłów chłonnych, oczy nabiegłe krwią. Wkrótce krętki blade i dwoinki rzeżączki wnikną do krwiobiegu, a wtedy rozsieją się po całym ciele. Nastąpi zastój moczu, wysiadzie wątroba, chwilę później kłębuszki nerek, co skończy się posocznicą, wstrząsem septycznym, a w konsekwencji niewydolnością wielonarządową. Osłabiony organizm lubi atakować pałeczka ropy błękitnej, zagrożeniem staje się też gronkowiec złocisty - doktor wszedł w szczegóły.

Ucieczka

Jędrzej umilkł. Zaszło mu w gardle, patrzył przed siebie. Minęło pół minuty, wziął głęboki wdech. Wtedy wstąpiły w niego nowe siły i wybiegł z gabinetu. Spóźnialscy siedzieli przed poradnią chirurgii dziecięcej oraz poradnią chorób płuc i gruźlicy.

- Obląkane łapiduchy chcą mi uciąć jądra! - Jędrzej krzyczał wniebogłoso na korytarzu.

Oczekiwał współczucia oraz pocieszenia, lecz nikt nie łączył się z nim w bólu.

- Obyś szczeł, przestępco! - zawołała roztrzęsionym głosem starsza pani z krótko przystryżoną grzywką.

- Zamilcz, zgorzkniała wiedźmo! Śmierdzisz jak zjełczały tłuszcz, przebrzydła jędzo - zaśmiał się kpiąco.

Wszystko słyszał siedzący obok ksiądz.

- Módl się grzeszniku i idź do spowiedzi! Za podłe występki czeka cię śmierć w męczarniach! - skarcił go duszpasterz pocierając czoło drżącą ręką.

- Śmiała przepowiednia, księżo. Po śmierci pójdę do czyśćca, a ksiądz skończy w piekle - Szyszko odrzekł z przekąsem chichocząc się półgębkiem.

- Niech Bóg okaże ci miłosierdzie, huncwocie! - zachnął się wzburzony ksiądz.

Puścił się biegiem w stronę wyjścia. Pędził niepowstrzymanie. Wymknął się niepostrzeżenie za bramę lecznicy, bowiem śledczy ucięli sobie przyjacielską pogawędkę ze szczebioczącą ślicznotką. Kasia Drzyżdzyk - nieprzeciętnej urody pani sprzątająca odłożyła miotłę i zdjęła strój roboczy, szykując się do opuszczenia szpitala. Wpatrzeni w jej srebrzyste oczy zdawali się być pogrążeni w swych myślach, ale wkrótce otrzeźwiali.

- Przysłijcie wsparcie! - darł się Dzieciół przez krótkofalówkę.

Bezmyślność śledczych opóźniła pościg. Łyszczarczyk pierwszy wybiegł ze szpitala. Droga schodziła w dół. Wściekły Łyszczarczyk dostrzegł cień sylwetki u wylotu drogi, gdzie kończyły się zabudowania. Wyjął splotę, oddał strzał, lecz przestrzelił. Chybił, chociaż na strzelnicy strzelał tysiące razy bez pudła.

Uciekinier skręcił w krętą, leśną dróżkę. Mknął w stronę jezior. Skołatane myśli kłębiły się mu w głowie. Musi przepłynąć Wisłę, później ukraść konia ze stadniny w Bobrku, aby czym prędzej dotrzeć do Krakowa, gdzie zniknie w wielotysięcznym tłumie przechodniów wałęsających się po śródmieściu wśród unoszącej się w powietrzu kuszącej woni kiełbasek, jagnięciny i innych mięsnych przysmaków wabiących klientów.

Biegł przez skrzące się od rosy rozległe łąki strasząc dżdżownice oraz strąsając krwiożercze kleszcze ze żdźbeł i żdźbelek. Szczygieł świergotał, gzęgźółka, żoła wraz z trzcinniczkiem krążyły nad zbiegiem trzepocząc skrzydłami. Ropuchy skrzeczały, mgła przerzedziła się. Wiatr szeleścił w gałęziach drzew, pobladła szadz iskrzyła się w gęstwinie leśnej. Wzdłuż nadwiślańskiego wału rosły kępy rozłożystych jodeł. Minął lśniące jeziora i zwieszające się nad nimi wierzby płaczące. Nad taflami wznosiły się obłoczki pary.

Przystanął, chwycił się jakiejś gałęzi. Przeniknął go do szpiku kości siarczysty ziąb, który aż szczypał w uszy. W oddali złowieszczo zagrzmiało. Nadciągała burza, choć w październiku zdarzało się to raz na dziesięć lat. Przepląnął Wisłę na czyjejś łódce, wiosłując potężną gałęzią uschłego dębu. Wygramolił się na brzeg. Przedzierał się przez przybrzeżne chaszcze, aż doszedł do najbliższej wsi. Psy szczekały w obejściach, lecz nikt nie wyszedł z domu. Ludzie mieli ważniejsze zajęcia.

- Już mnie nie złapią. Wystrychnąłem Dziecioła na dudka - powiedział do siebie i pomknął dalej na skradzionym wierzchowcu.

Epilog

Jędrzej Szyszko w niepojęty sposób wymknął się obławie. Przechytrzył śledczych, psy tropiące, ominął wszędobyłskie kamery, nie wpadł w żadną z licznych zasadzek. Przepadł jak kamień w wodę i słuch o nim zaginął. W związku z błędem śledczych oraz ucieczką wszczęto śledztwo.

- Macie kielbie we łbie! - grzmiał na śledczych komendant, ale wszystko rozeszło się po kościach, aczkolwiek sierżanci musieli przełknąć gorzką pigułkę. Przykre doświadczenie odcisnęło piętno na ich podejściu do służby w wydziale do walki przestępczością przeciwko mieniu.

Krążyły słuchy, że zbieg myląc pościg przemknął określną drogą przez Łódź, Łęczycę Wąbrzeźno, Chełmżę, Grudziądz i Elbląg w stronę Suwałk. Litewscy mnisi zarzekali się, że ugościli włóczęgę w klasztorze kamedułów w Pożajściu, a ostatnie zgłoszenie pochodziło z Kiesi, pięknej miejscowości na Łotwie. Przeszły mu wszystkie choroby, kiedy napił się wody z cudownego źródła.

W styczniu następnego roku gruchnęła wieść, że ścigany osiedlił się w Szwecji, gdzie poślubił wydziedziczoną szwedzką księżniczkę. Była to miłość od pierwszego wejrzenia. Kręte ścieżki miłości poprowadziły tych dwoje do siebie. Przyznał się jej, jaki z niego flirciarz i wichryciel, przysiągł dozgonną miłość, wierność oraz szczerość. Księżniczce nie przeszkadzały wcześniejsze przeżycia oblubieńca. Wiedziała, że będzie ją wspierał i uszczęśliwiał, wdzięczny za drugą szansę.

- Jesteś moim księciem na białym koniu - szeptała mu do uszka czułe słówka.

Polskie władze wystawiły za Jędrzejem międzynarodowy list gończy. Mógł jednak spać spokojnie żyjąc w posiadłości w leśnej głuszy. Strzelaniny, grabieże, splądrowane wsie, dziecięce gangi przyszłych żołnierzy pastwiły się nad porządnymi Szwedami. Płomienie trawiły piękne średniowieczne kościoły. Czasy świetności minęły. Któż ścigałby skruszonego złodziejaska i naciągacza, żyjącego z księżniczką na odludziu, kiedy Szwecja pogrążyła się w zawierusze krwi i szaleństwa, a kraj staczał się ku przepaści.

Chrześcijańskie wartości, czyli miłość do bliźniego, równość, wsparcie dla uciśnionych, odbiły się czkawką zwykłym Szwedom. Przyjęcie pięćdziesięciu tysięcy uchodźców z każdego z sześćdziesięciu sześciu państw ogarniętych wojną i skrajną nędzą zemściło się na zdzieciniałych błazeńskich umysłach wyśmiewających ostrzeżenia trzeźwo myślących sceptyków, których wtrącali do więzień oraz szpitali psychiatrycznych. Szwecja płonęła, najeżdźcy siali śmierć i zniszczenie, rażąca niewdzięczność zwyciężyła.

Szyszko z księżniczką spędzili resztę życia w zapadłej pipidówce ciesząc się sobą. Szczęśliwa żona urodziła córeczkę, mąż ustrzegł się błędów i niebezpieczeństw. Darzyli się szacunkiem, cenili sobie spokój. Musiało minąć trochę lat, zanim zdziczała zbóje zaczęli siać zniszczenie w odciętych od świata kątach.

- Czasami trzeba odciąć się od przeszłości i żyć przyszłością - ponoć Jędrzej zwierzał się przyjacielom.